



SPOTKANIA Z HISTORIĄ

BOHDAN TYMIENIECKI
NA IMIĘ JEJ BYŁO
LILY



© 2020 Espadon Publishing Sp. z o.o.

Skład i łamanie: Espadon Publishing Sp. z o.o.
Projekt okładki: Jan Szafaryn

ISBN 978-83-60786-21-5

Wydawnictwo Espadon Publishing Sp. z o.o.
Warszawa

Wszelkie prawa zastrzeżone

Bohdan Tymieniecki

Na imię jej było Lily

ESPADON PUBLISHING
W A R S Z A W A 2 0 2 0

[Kup książkę](#)

TAK WYPADAŁO Z TRADYCJI

Szwadron nasz wracał z dalekiego podjazdu, idąc pełnym klusem w stronę dochodzących do nas odgłosów walki. Godzina była wczesna, dzień bezwietrzny i słoneczny, piękny dzień naszej jesieni, pól pełnych słońca i zapachu kwitnących poplonów. Pogoda zapowiadała jak zwykle wściekle ataki nieprzyjacielskich samolotów na nasze kolumny.

W takt konskich kroków trzęsły się przewieszone przez plecy karabinki i głucho dudniły opony jadących za nami taczanek z cekaemami. Z rzadka padały słowa urywanej rozmowy:

- Daj papierosa.
- Czy Janek się z tego wyliże?
- Ale on ma szczęście!
- Widziałeś?

Trochę bliżej i dłuższa seria nieprzyjacielskiego kaemu przerwała rozmowę, konie wyciągnęły krok, padła komenda. Przed nami już wieś. Wpadamy na drogę ocienioną topolami i idącą w jary, rzeczka, most i skrzyżowanie dwóch takich typowo polskich dróg, szerokich i piaszczystych, pełnych najrozmaitszych niespodzianek o każdej porze roku.

Na skrzyżowaniu samochod i kilku oficerów.

- To pułkownik Płonka, widzisz? A ten drugi to pewnie Kopeć!

Szwadron zjechał w cień drzew. Krótka rozmowa, poparta szybką gestykulacją naszego rotmistrza: – Galopem za mną... marsz!

I walimy całym pędem przez wioskę robiąc wrażenie wymarłej. Co chwila zabłąkana kula gwizdże przeciągle gdzieś w górze. Skręcamy w prawo, dróżka za wąska, wywraca się taczanka – chwila zamieszania i znowu w cwał. Gubię zaczętego przed chwilą papierosa. Łączka, kępa olszyn, rów.

- Stój!

Przed nami małe wzniesienie, zasłaniające przedpole.

- Z koni! Przygotowanie do walki pieszej!
- Pręędzaj!

Chwila kłótni, bo nikt nie chce zostać koniowodnym. Przedwczoraj było nas dużo więcej, dzisiaj musimy zostawić jednego na siedem koni – niech się martwią.

Biorę kbk od koniowoda, dziesięć naboi.

- Wystarczy!

Wychodzimy do natarcia. Mam pluton kierunkowy, lewy prowadzi rotmistrz Petrulewicz, prawy – podporucznik, którego nazwiska już dziś nie pamiętam, wołamy na niego Pieter; ma małą blond bródkę i zdecydowane oczy. Tyralierka – i na wzgórze. Przed nami... równina.

Szachownica chłopskich poletek, zagon ziemniaków, jakaś wyschnięta podorywka, półko złotego w słońcu łubinu. W dali paląca się wieś, dystans – 600 metrów. Idziemy wolno naprzód. O kilkadziesiąt kroków mijamy ukryty w ziemniakach ckm. To szwoleżerowie. Leżą w bruzdach i strzelają do czegoś, czego my jeszcze nie widzimy.

Karabin maszynowy pruje krótkimi seriami, pryskają łuski, z chłodnicy wolno unosi się para. Kilka wesołych słów i reszta zostaje w gardle. Twarzą do słońca, z zaciśniętymi kurczowo pięściami, z odrzuconymi nogami, leży zabity – nasz. Krew sączy się spod hełmu – dostał w sam łeb!

Do wioski jeszcze z trzysta metrów. Mała łączka i takie trzy czy cztery chałupy luzem w polu. Słońce gra na szybie pierwszej z nich, jakby złudzenie ognia.

Trrrtatatat... trrrtatatat... trrr...

Zagotowała się ziemia: przed nami – obok – z tyłu! Z wyschniętej roli obłoczki kurzu.

– Biegiem!

Coś gwizdże, szarpie, drzeć zaczyna powietrze jak kawał płótna. Jeszcze dwadzieścia metrów! Ktoś z tyłu krzyknął:

– Jesteśmy w chałupach!

Wściekły, jakby oszalały terkot. Sypią się szyby, trzaski po drzewach, z białą bielonej ścianą leci gruz. Kilkunastu Niemców ucieka do wsi będącej nie dalej jak sto metrów. Widzę ich, jak schyleni biegną i ktoś koło mnie strzelił.

Ostatni z lewej wali się na wznak – trzask! Drugi potyka się i kładzie jak długi. Trzeci!

Oglądam się – to podchorąży. Ten to umie strzelać, ziemiański synek!

Leżymy wzdłuż dróżki łączącej chałupę za drzewami i starym, na pół zgniłym płotkiem. Chłopcy zaczynają strzelać. Liczę ludzi. Świetnie! Tylko trzech. Jeden na czysto, dwóch rannych. Jeden ma śmiesznie oderwane ucho, krew wali z niego jak z fontanny. Ktoś go opatrjuje.

– Kto zabity?

– Sowa!

– Niemożliwe!

Mój ulubieniec! Krakowskie „wybijokno”, o zawsze uśmiechniętych oczach.

– Gdzie dostał? Może żyje?

Wstaję i wracam. O kilkanaście kroków od pierwszej chałupy, na zagonie niezoranej ścierni, z wyrzuconym przed siebie kbk i twarzą wciśniętą w ziemię – leży Sowa.

Czołgam się... krzyczę... szarpie... Nic! Dostał w środek. Pewnie kula naruszyła kręgosłup.

– Psiakrew! – Wracam.

Chłopcy walą na całego. Zaczynają warczeć nasze „szczeniaki”¹ model 30. Leżę za grubą topolą i przez lornetkę oglądam przedpole.

Wiesz pali się z lewego końca. Na prawo dwie chałupy i jakaś droga. Na górze kościół, może sto dwadzieścia metrów. Dzieli nas zwykłe, chłopskie pastwisko. Hej! Teraz widzę: za krzyżem przydrożnym, w dołku – trzy hełmy. Dalej, za rogiem chałupy, kaem w prawo. Boże! Nie dalej jak osiemdziesiąt kroków za małym kopczykiem.

Podciągnąłem mauzera. Dobrze – nie – trochę niżej. Przeszło mi błyskawicznie przez mózg wspomnienie ostatniego rogacza; był zgórowany. Wolno naciskam spust – rozłożył się płasko jak szmata. Szukam drugiego. Ten za węglem, może się więcej wysunie. Ot tak! Jeszcze! Wprowadzam trzeci nabój.

Z płotu, trochę wyżej i na prawo, sypią się drzazgi. Z tyłu ruch. Oglądam się – to rotmistrz Chruszczewski prowadzi nam szwadron na wsparcie. Mają cztery cekaemy. Dobrze!

Wołają mnie za chałupę. Wolno wyczołguję się. Rotmistrz, stary rotmistrz Petruliewicz; złośliwi w szwadronie przebąkiwali, że z koniem ma trudności i że raczej pachnie kapitanem. Ale żołnierz był zuchwały i może kiedyś tam, w dalekiej Polsce, doczeka się więcej niż tej wzmianki. Uśmiechnął się do mnie:

– Gorąco, co?

A tu, na domiar złego, samolot. Wali prosto na nas. Messerschmitt. Niziutko, z piekielną szybkością. Kurzy się ziemia od pocisków, gwizdże powietrze. Rotmistrz śmieje się:

– Nic nam nie robi.

– Daleko masz do nich?

– Sto metrów, może mniej.

– Czy nie pogubili bagnetów?

– Nie!

– Przygotuj do szturm, może się uda... Marsz!

Już nie kryjąc się wypadam zza węgła. – Bagnet na broń! Szturm!

Skacze przez płot, walą się deski. Ułamki sekund, rów – skok, hurra, hurra! Parę metrów

¹ Lekkie karabiny maszynowe.

– krzyż i... te trzy hełmy. Rzucam w biegu karabin i wyciągam zdobyczne parabellum. Jeszcze z dziesięć kroków. Stałem. Mignął mi w szczybinie guzik na płaszczu. Ściągnąłem spust. Hełm i biała z przerażenia twarz, skurcz palca i lekki odrzut lufy, a trzeci w tę zieloną masę munduru i ładownic!

Krzyk. Jakieś postacie z wyciągniętymi do góry rękami, biała płachta, ktoś się śmieje. Jesteśmy we wsi!

Tak zdobyliśmy szturmem na bagnety południową część wsi Dzwola dnia 29 września 1939 roku, bronioną przez dywizjon przeciwpancerny legendarnego „Kondora”.

Ceres, 1941

PRZEBIŁEM

Przy wyjściu z ciemnej bramy fortecy pierwszą spotkaną osobą był Staś Wołoszowski. Rzucił się do nas:

– Pewny byłem, że to wy! Wiedziałem, że jak tylko wam się uda, to tu wylądujecie. Czekam na was już od dwóch dni. Chodźmy gdzieś na stronę. Zanim zaczną was indagować, muszę was oświecić, co w trawie piszczy.

To jest obóz oficerski. Ci oficerowie to przeważnie z zapasów, jakiś korpus geografów, trochę z administracji, reszta to rezerwiści, lekarze, aptekarze, urzędnicy, naród niewojenny. Życie znośne, nawet wygodne. Węgry kochane płacą ponoć jakieś pobory czy zasiłki. Naturalnie jest i dowódca, podobno najstarszy stopniem, jakiś pułkownik Sas Kulczycki; ma koło siebie cały sztab. Siedzą tu od dwóch miesięcy i zdążyli już obrosnąć w piórka. Ale tu coś się dzieje, jakaś dziwna polityka odchodzi, bardzo trudno się dowiedzieć, bo nie dopuszczają do poufałości. Wszystko cholernie zakamuflowane. Są podobno dwie frakcje: jedna chce tworzyć jakiś legion na Węgrzech. Ten pułkownik Sas podobno bardzo przyzwyczajony człowiek, ale nie ma nic do powiedzenia, trzymają go na figuranta.

Wyjechać stąd bardzo trudno, bo wypuszczają tylko wybranych.

Węgry na wszystko patrzą przez palce, pomagają, jak tylko im dyscyplina na to pozwoli. Kto obrotniejszy, wyrывa do Budapesztu na własną rękę. Co dzień kogoś ubywa. Ale wszystko po cichu... Sza! Wiedzą tylko wybrani, a w ogóle Pinkerton¹!

Pamiętajcie, że jutro wezmą was do sztabu na weryfikację. Z Kołaczkowskim i Szlankiem nie ma kłopotu, ale Bohdan nie przejdzie, bo ogniomistrz, i odeślą do innego obozu. To przewidziałem i dzisiaj zwąchałem się z łapsiakami z dwójki. Oni też coś kombinują na własną rękę i werbują ochotników na agentów do Polski.

Dotychczas nikogo nie namówili, no to ja ciebie, kotku, sprzedam. Zgódź się na wszystko – że pojedziesz, że nawet Hitlera utrupisz, a oni już dla ciebie papiery szykują na porucznika, z całym twoim życiorysem, i tym cię zweryfikują. Proszę cię, nie nawal, obiecuj cuda, a później wyrwiemy i... mogą cię pocałować w podogonie.

Ciesz się z was jak cholera. Zawsze mówiłem, że swój brat nie zginie. Wy prujcie za tym dudkiem, a ja z Bohdanem do tego biura awansowego.

Staś miał rację, do narzekań nie było powodu. Coś jak zameczek czy forteczka, długa, ciemna brama z wartownikami trochę na obdrapańca, duże brukowane podwórce, szare budynki koszarowe. Na dole duże sale po szesnaście łóżek dla młodszych oficerów, na górze salki na czterech lub sześciu oficerów starszych. Podobno płacą im po sto osiemdziesiąt pengó miesięcznie.

Właściwie zupełna swoboda. Za specjalną przepustką można zejść do Egeru, uroczego miasteczka w dole.

Tak minęło dziesięć dni. Czas leci, a tam we Francji Sikorski tworzy nową armię, do której ciągną z całego świata, a my... nic!

Trudno nawiązać jakąś znajomość, trudno się czegoś dowiedzieć. Nie budzimy zaufania. Nasze przechwałki o „przewagach” wojennych zraziły do nas całe otoczenie, słuchano ich z zażenowaniem i niechętnie. Naród ten – jak mówi Staś – niewojenny, a raczej przeczorny, ma wrodzony wstręt do każdego gwałtu fizycznego.

Wyrwać! Za wszelką cenę wyrwać!

Ale na to, aby wyrwać, trzeba mieć rubla. Dostaliśmy skromny forszus², który rozchodzi się na niezbędne drobiazgi, ale na to, ażeby ubrać czterech ludzi, na cztery bilety do Budapesztu potrzeba najmniej czterech setki. Skąd je wziąć?

1 Słynny detektyw amerykański.

2 Zaliczka.

W piątek po obiedzie zabrano nas do łaźni. Idziemy eskortowani przez obdartusa, środkiem ulicy, gapiąc się na wszystko, na czym tylko zaczepić się mogło oko, i nagle doznałem objawienia! Naprzeciw nas, chodnikiem, prowadziły się cztery okazy jak do portretów Gotlieba: czapy lisie, szuby atlasowe, brody po sam pas, pejsy skrócone w misterne grajczarki, cycelesami aż zamiatają ulicę, obraz dostojności, powagi i... to będzie nasz ratunek.

Grzecznie zasalutowałem z szeregu. Rysia aż poderwało:

- Co ty, mysieursom salutujesz? Zwariowałeś czy co?
- Rysiu drogi, ja kochanego rubelka salutuję, i to pewnego.

Łaźnia okazała się ślicznie urządzonymi łazienkami i basenami, z czego jeden, największy, na świeżym powietrzu, zasilany z naturalnych ciepłych źródeł. Mróz na dworze dobrych dziesięć stopni, a tu żaby kumkają jak na miradowskich bagnach.

– Słuchajcie, Ryś i Szlank, buch do wody nie na dłużej jak na trzy minuty, ubierać się i usiądziemy w tej czytelni. Mam cudowny plan i tylko należy omówić wykonanie.

Usiedliśmy w wygodnych fotelach, wyciągnąłem papierosy:

– Słuchaj, Szlank. Dotąd myśmy za ciebie myśleli i wyprowadzili z ziemi niewoli, teraz kolej na ciebie prostować nasze drogi. Jak nawalisz, to prędzej wojna się skończy, niż się stąd wydostaniemy.

Szlank był to chłopak bardzo równy, podporucznik artylerii, przeszedł chrzest bojowy gdzieś pod Mławą, emocjonalnie odważny. Razem z nami bez wahania poszedł na najryzykowniejszą awanturę. Był nawet trochę zuchwały, miał ojca podpułkownika i był Żydem.

– Słuchajcie uważnie. Widzieliście tych czterech wspaniałych samców, którym salutowałem. Otóż mam myśl: Szlank, ładny chłopak jesteś, ale podobieństwa z Radziwiłłami dopatrzeć się w tobie trudno, natomiast na pewno znajdziesz pomiędzy swoimi dziadkami jakiegoś „podrabka”, bo rodzina zacna i z tradycją. I tu zaczyna się twoja wielka rola. Pójdiesz do nich, i to *gementes et flentes*³, i płacz! Płacz, że Niemcy ci siostrę zgwałcili...

– Nie mam siostry – warknął Szlank.

– To nie szkodzi, bo mógłbyś ją mieć, a po drugie nie przerywaj! Że ojca i matkę ze skóry żywcem obdzierali...

Szlank aż się zerwał. Podniosłem rękę.

– Sza! Przedstawisz im całą grozę katuszy i nieszczęść, jakie przeszła cała twoja rodzina. Zrobisz to obrazowo, i uważaj, jakie wrażenie to robi. Jak zobaczysz, że wzięło i zaczynają mięknąć, przedstaw delikatnie sytuację, poproś o pomoc. Na pewno nie odmówią i zrobią jakąś kwestę dla nas, a my... jak tylko pieniędzy dostaniemy do rączki, to pošlemy im piękną laurkę z Montmartre’u... Jasne?

– A ja tego nie zrobię – stanowczo wygłosił Szlank. – Na takie kanty i kłamstwa honor oficerski mi nie pozwala; twoje jezuickie metody nie odpowiadają mi, zresztą nie jesteś oficerem, to tego nie rozumiesz.

– Zgoda, Szlank, ja nie rozumiem, nie jestem oficerem i wolny jestem od tego tak dla ciebie świętego balastu, ale jeśli tak, to może powiesz, dlaczego kiedy ci pełni zaszczytnego tego honoru jak stado szli w plen, nie poszedłeś za nimi, lecz poszedłeś za tym... jezuitą? Nie będziemy się kłócić, honor honorem, ale za żaden honor stąd się nie wydostaniemy. To nie jest oszustwo, to podstęp, fortel, może nawet przebiegłość. Byli więksi od nas, których te metody, jak je nazywasz, jezuickie, wyniosły na świeczniki historii. Patrz: Metternich, Machiavelli, nawet stary Ulisses. Poszedłbym z tobą, bo nos mam na Rothschildowego bratanka, ale co będzie, gdy te rabiny będą chciały nas zweryfikować? Przecież ja w żaden sposób nie przejdę.

– Ty z poważnych rzeczy robisz kpiny, dla ciebie nie ma świętości, i dość mam tych głupich aluzji. Ta wczorajsza pogaduszka o Żabotyńskim⁴ to też była w moją stronę. Nie mam

3 (łac.) Jęcząc i płacząc – fragment antyfony „Witaj Królowo” – przyp. red.

4 Włodzimierz Żabotyński – przywódca skrajnie nacjonalistycznego ugrupowania ruchu syjonistycznego.

nic wspólnego z żadnymi Żabotyńskimi, jestem polskim oficerem i na żadne twoje propozycje nie pójdę, mimo że mam wielki dla ciebie szacunek za twoją odwagę i zdecydowanie.

– Ty, kochany Szlank, jesteś zły gracz i do pokera nie siadaj. Nie umiesz zachować *bonne mine*... przegrywając. Żabotyński jest większy juhas od ciebie i nie zniechęcał się tak jak ty byle trudnościami. W zeszłym roku w maju, bodaj w niedzielę wczesnym rankiem, prowadził tysiąc swoich sokołów na jakieś manewry. Szli Świętokrzyską, gromko i ze śpiewem. Bojowy śpiew zaniepokoił wilczura śpiewaczki Elny Gistead. Pies wyszedł z nerw, to wiesz, gdzie połapał swoich hoplitów? Na Grochowie i mimo poważnych strat marszowych i trudności poszukiwań, do końca doprowadził ćwiczenia. Życzę mu, żeby go szwabry nie złapały.

Ale Szlank gadać nie chciał i cały mój projekt tak jakby leżał.

– Wiesz co, Szlank? Nie ma większego nieszczęścia, niż kiedy Pan Bóg stworzył głupiego Żyda. Żebym się nad tobą nie litował, jak nad tym polskim oficerem, to zapaliłbym ci czarną świecę i *szwarz jur*⁵ rzucił na twoją głowę i potomstwo, którego i tak się nie doczekasz.

Rozmowę przerwały nam ryki śmiechu i gwałtowna awantura. Historia jak do kina. Jakiś kapitaś z piechoty, którego trochę w kąpielii przypiliło, zobaczywszy bidet w łazience, a będąc niezwykajny takich wymyślnych urządzeń, kropnął sobie... kupkę. Na domiar złego usiłował spuścić wodę, dostał wszystko w gębę! Obsługa szalała z radości, nasz kapitan rzucał się jak wściekły, my w śmiech, on do nas, ledwo Węgry załagodziły.

Zastaliśmy Stasia leżącego na moim łóżku i usiłującego wciągnąć do rozmowy jednego z tych wtajemniczonych Pinkertonów, o którym szeptano, że konstruuje czy obsługuje jakąś tajną radiostację.

– Widzę możliwość zrobienia kupy pieniędzy – szeptem wyrzucił Staś – i trochę przygotowań już poczyniłem. Teraz kolej na ciebie. Otóż tam na piętrze, w jednym pokoju u sztabowych, idzie partia pokera.

Grywa ich czterech: dwóch majorów i kapitan – geografy. Dochodzi jeden kapitan bodaj z liczyportków. Mają pieniądze, bo płacą im już od dwóch miesięcy. Ja nie mam szans, bo wiedzą, że mam gołodupiec, ale ja tak od niechcenia wspomniałem o tobie, żeś ziemianin, że lekko grasz w pokera i że masz kupę dolarów. To chwyciło. Któryś niby cię zna czy o tobie słyszał, dolary nie poszły w las. Bardzo chętnie cię poznają i zaprosili nas jutro na herbatę. Ogromne nadzieje pokładałam w tobie, bo jeśli mogłeś mnie tak obłupić pod Janowem, to tym patałachom powinienes gacie przez głowę ściągnąć.

Założenie mi odpowiadało, bo dawało możliwości, a wszystko, co dawało jakieś możliwości, było dobre. Ale na tę imprezę potrzebny był kapitał zakładowy. Obliczyliśmy – razem mieliśmy niecałe dwadzieścia pengó, bez najmniej osiemdziesięciu nie można zacząć.

Bez namysłu ściągnąłem z szyi złotą odznakę Wielkiej Łoży i pomaszzerowałem powoli w róg sali, gdzie leżąc na łóżku i czytając książkę przeżuwał w spokoju kolację jeden z „handlowych”, a tak zapobiegliwych i przezornych, że skupował od potrzebujących nawet złote obrączki. Zaczął się długi targ, ale ciężar złota przeważał. Sprzedałem, z prawem odkupu na trzy dni, za czterdzieści pengó.

Na drugi dzień w obiad Staś przyniósł dwadzieścia pengó, które wycygał na konto przyszłych poborów od jakiegoś naiwniaka. Ryś wypożyczył od kogoś przyzwoitą kurtkę mundurową ze śladami po odprutych proporczykach. Pierwsze trudności i niepewność pozostały za nami.

O czwartej pomaszzerowaliśmy na górę. Staś mnie przedstawił z małą oracją. Przyjęto nas uprzejmie, z uśmiechem i kubkiem herbaty.

Rozmowa naturalnie o wojnie, którą w konsekwencji Niemcy muszą przegrać w pół roku, zmiażdżeni potęgą Francji i Anglii; posypały się dane, liczby, wszystkie przewagi. Twierdzenia były wygłaszane autorytatywnie i bardzo przekonująco, ale nie dla nas taki „bałak”;

5 (jid.) czarny rok.

obydwaj byliśmy na froncie i... mieliśmy wyrobione zdanie o przeciwniku i nie bardzo nam się chciało wierzyć, żeby po tamtej wojnie i lekturze „Ognia” Barbusse’a Francuzi byli tacy wyrówni do tego miażdżącego ataku, ale potakiwaliśmy zgodnie i grzecznie przyjmowaliśmy te wszystkie banialuki.

Po półgodzinie tak pouczającej rozmowy major poprawił cwikery i zaproponował:

– Może by tak małego pokerka? Po pół penga? My tu tak trochę grywamy dla zabicia czasu. Jeśli pan ma ochotę, to możemy w piątkę z dokupem...

Z uśmiechem kiwnąłem głową:

– Z przyjemnością.

Nakryto stół kocem, dwie blaszane pokrywki od pudełek na popielniczki, rozdano karty, pociągnęliśmy miejsca. Z lewej mam kapitana, naprzeciwko dwóch majorów, z prawej tego liczyportka, Staś usiadł za mną.

Gra wlokła się przeraźliwie nudno, banki po parę penga, żadnego spotkania, nikt się nawet na włos nie wychylił. Po godzinie byłem przegrany prawie piętnaście penga, otworzył kapitan z lewej, który był już wygrany co najmniej dwudziestaka. Weszli wszyscy beze mnie. Po dokupie major rozpoczął z dwóch, dodali, kapitan przebił... i pięć... dodali... full asowski!

To jest już co zaportkować, prawie pięćdziesiąt. Nagle uderzyło mnie, że kapitanowi zbierającemu ze środka stołu pieniądze drżą końce palców – już go wzięło, a jeśli tak, to go mam!

Rozochocony zwycięzca wstał, wyjął spod poduszki butelkę pralinki. Zauważyłem, że nalał tylko pięć filiżanek. Nieznacznie podsunąłem Stasiowi swoją.

Gdzieś przez kręgosłup przeszło lekkie drgnięcie jak iskierka. Machinalnie poprawiłem się w krześle. Każdym nerwem czułem, że mój czas nadszedł, moje piętnaście minut!

Pierwsze rozdanie... nic. Dodaliśmy, kapitan zachęcony powodzeniem otworzył w ciemno. Major w szklach rozdawał karty.

W ręku mam trzy króle, asa pik i dyszkę karo. Pierwszy dodał, drugi dodał, zerknąłem na kapitana z lewej – wyraźnie mu się trzęsły ręce... dodałem.

– Przebiłem i pięć – wykrztusił kapitan. Wszyscy spokojnie dodali.

– Przebiłem i dziesięć!

Zrobiła się maleńka konsternacja; tego przebicia nikt się nie spodziewał. Kapitan z kwaśnym uśmiechem rzucił karty, major poprawił cwikery i powoli położył na stole papieraek dziesięciopengowy, następny położył karty.

– Mnie nie ma – mruknął liczyportek.

Wyrzucam asa, kupuję jedną kartę, major bierze dwie, pewno ma wysoką trójkę.

Major znowu poprawił szkła, odliczył pięć nikielków... Zagrałem!

Spokojnie, bez zagładania w karty, przebiłem i dwadzieścia!

Major sięgnął do wewnętrznej kieszeni, wyjął portfel i położył na stole nową dwudziestopengówkę... – Dodałem – chrząknął.

Leciutko przesunąłem w palcach karty... Przyszła dziesiątka kier.

– Full królewski – spokojnie oznajmiłem.

To było już co schować, prawie siedemdziesiąt. Poczułem się cholernie pewny, czułem, że panuję nad stołem, że te cztery urzędasy w mundurach dostały bakcyła, niezwyčajnie takiego tempa muszą się wychylić i jak woły pójść do reżni.

Staś z tyłu uszczypnął mnie w plecy, nawet się nie obejrzałem. Ten od liczyportków rozdawał karty, otworzyłem po ciemku. Dwóch weszło... przebiłem i dwa, obydwa kapitanowie dołożyli. Nie miałem nic, kupiłem, ot tak na wariata dwie karty. Poczekali, ja też.

W banku piętnaście, ja rozdaję... Otworzyłem w ciemno.

Teraz już wyraźnie czuć było napięcie, powoli, z drganiem palców, filowali karty.

Wszyscy sięgnęli do kieszeni. Major znowu poprawił szkła, musi mieć kartę. Dodałem... dodałem... dodałem. – Dodałem – warknął liczyportek.

Wolno, z rozmysłem, nie spiesząc się, koniuszkami palców prawej ręki przesuwalem kar-

ty: król, walet, ósemka i siódemka kier, ostatni as – pik... złamany kolor! No, teraz albo nigdy!

Przebiłem... i trzydzieści!

Wyjąłem z kupki trzy dziesiątki i rzuciłem na stół.

To było do przewidzenia i na ten moment czekałem. Na czołach pokazały się krople potu, kapitanowi latały ręce, był czerwony. Czułem wewnętrzną radość walki i pewność przewagi. Z radosnej emocji pulsowały mi końce palców. Staś za mną wstrzymał oddech.

– Muszę dodać – jakby usprawiedliwiał się kapitan; oba majory dodały, liczyportek rzucał karty i wstał, coś mrucząc pod nosem.

Pierwszy... dobrał jedną, drugi... jedną, trzeci major – dwie karty, ja jedną. Kapitan filował długo, radość mignęła mu w oczach, sięgnął do portek.

– Otworzę z dwudziestu – wyrecytował.

Major zrobił bardzo skupioną minę i bez słowa położył dwudziestopengówkę, była bardzo nowa; drugi major przecząco pokręcił głową i położył karty.

Po co się śpieszyć? Wyjąłem i przetarłem monokl, mam czas. Zdawałem sobie sprawę, że czy kupiłem, czy nie kupiłem, przebić muszę. Kciukiem lewej ręki powoli przesunąłem karty. Poczułem na sobie gorączkowo wlepione oczy, wszyscy wstrzymali oddech. Król... walet i... dziewiątka... kier! Przyszła dziewiątka!

Szlagier baccaratowy!

Przebiłem!... I sześćdziesiąt pengó!

Cisza. Kapitan wstał, podszedł do łóżka i wyjął spod materaca szarą kopertę, odliczył sześć dziesiątek, położył na kupce banknotów.

Dodałem!

Major bez słowa znowu odliczył trzy nowe dwudziestki.

Kolor w kierach!

Co za spotkanie! Trafiłem na dwa fulle, asowski kapitana i damski majora.

Niedbałym ruchem zacząłem składać papierki, zrobiło mi się gorąco, mijało napięcie, byłem wygrany fortunę, razem ponad cztery setki. Cel został osiągnięty. Poczułem w nozdrzach zapach paryskiego metra.

Odezwał się ten od liczyportków:

– Nie podobają mi się pańskie metody gry. Z towarzyskiego pokera zrobił pan hazard, to nie bardzo wygląda na amatorską grę.

Zesztywniały mi policzki:

– Panie kapitanie, poker to nie jest gra towarzyska, to nie jest gra salonowa ani dla przyjemności, to jest... poker! – Wstałem. – Dziękuję panom za miłą partię i za przyjęcie.

– Jak to – zerwał się major z cwikiem – pan odchodzi? Tak nie można, pan nas wszystkich ograł, nam się należy rewanż.

– Ależ naturalnie, obiecuję panom rewanż, ale nie dziś.

– A więc kiedy? – wyrzucił major.

– Kiedy Madelon *viendra nous servir a boire!*⁶. Proszę panów.

Węgry, Eger, zima 1939

⁶ Madelon poda nam coś do picia – fragment popularnej piosenki z okresu I wojny światowej.

CZARNY ROK

W bramie czekał już na mnie Józek Kernes.

– Słuchaj, Bohdan, zaczyna wyglądać niedobrze. Jakąs godzinę temu pułk przeszedł w kierunku Ploermel, wycofuje się cała dywizja. Są pogłoski, że Niemcy o parę kilometrów. Rotmistrz Minkowski odszedł z trzema plutonami, na dowództwie tutaj zostawiono rotmistrza z częścią jego szwadronu. Ponieważ to wszystko zaczyna mi śmierdzieć, dałem twoim ludziom rozkaz spakowania się i gotowości marszowej.

Wróciłem do sąsiedniej wioski z patrolu, na który wyszliśmy o świcie, prawie pięć kilometrów. Wszędzie panował zupełny spokój, nikt nawet na nas nie zwracał uwagi, żadnego śladu uchodźców czy jakiegos niepokoju. Spotkaliśmy tylko jeden *camion* z bańkami mleka, normalna *vie quotidienne*.

Oddział rozpoznawczy 3. Dywizji był dopiero w początkowym okresie szkolenia. Stany mieliśmy pełne, ale uzbrojenie i wyekwipowanie niekompletne; oczekiwaliśmy z dnia na dzień na sprzęt motorowy, armatki i ciągniki.

Nie mieliśmy ani jednego oficera o wyszkoleniu francuskim i całe instruowanie oparte na podchorążych, improwizujących na podstawie starych instrukcji kawaleryjskich. Na cały pułk ja jeden miałem ukończone dwa kursy francuskie armatek ppanc – 25 mm w Coëtquidan i 40 mm z zapalnikiem błyskowym w Laverdon.

Poza normalnym szkoleniem podstawowym i strzelaniem z kb i rkm na podstawie posiadanych instrukcji francuskich szkoliliśmy razem z Kernesem wybieranie, okopywanie i maskowanie stanowisk armatek o ciągu motorowym.

Nasza wyprawa do Coëtquidan na kurs armatek i strzelanie zakończyła się katastrofą.

Podporucznik Drobniak, dowódca plutonu konnego armatek i jako oficer dowódca całości, po przeprowadzeniu nas na wyznaczone kwatery poszedł zameldować się w dowództwie obozu. W tym czasie jakiś major z dwoma oficerami wszedł na kwatery Drobniaka i mimo tłumaczeń zabrał prawie cały pluton na uzupełnienie swojego oddziału. Zaalarmowany Drobniak przyleciał interweniować, ale... podporucznik Drobniak był oficerem zawodowym i mimo tego bezprzykładnego bezprawia, gdy ówże major wrzasnął na niego: „Rozkaz!”, bezradny Drobniak stanął na baczność i... stracił dwudziestu czterech ludzi.

Z plutonem motorowym sprawa przybrała inny obrót. Podniecony powodzeniem major wpadł ze swoimi oficerami na salkę, gdzie pod ścianami na siennikach i materacach siedzieli moi ludzie.

– Powstać! I maszerować za tym panem porucznikiem! – Powstałem tylko ja: – Panie majorze, ci ludzie są z trzeciego OR-u, przysłani na kurs armatek pepanc i nigdzie nie pójdą bez rozkazu swojego dowódcy.

– Milczeć! Jedno słowo i kula w łeb!

Zrobiłem krok w tył.

– Niech pan spróbuje! – Za mną trzasnęły zamki ładowanych karabinków; zanosilo się na straszną awanturę.

Major wypadł jak oszalały.

– Ja was nauczę! – krzyczał jeszcze za drzwiami.

Moi żołnierze to nie ułańskie ciubaryki plutonu konnego Drobniaka: jeden plutonowy, czterech kaprali rezerwy, trzech studentów, pięciu maturzystów, sześciu marynarzy z floty wojennej, reszta młodzi emigranci z Francji, element inteligentny, a do tego nie z poboru, ale ochotniczy – na to wszystko jeden kapral zawodowy, Uliaszek. Całość bardzo zdyscyplinowana, żołnierz bardzo pewny swoich wartości i żołnierz zbyt inteligentny, by mógł być dowodzony przez przeciętnego oficera zawodowego, a do tego jeszcze z kawalerii.

Co było teraz robić?

Zrozpaczony Drobniak zawyrokował: – Uciekamy!

Uciekliśmy bocznymi drózkami do pułku.

- Gdzie jest porucznik Drobniak?
- Odszedł z rotmistrzem Minkowskim, zostawił ci resztkę swojego plutonu, ośmiu ludzi, mają kb, dwa erkaemy i sześć skrzynek amunicji.

Wygląda znowu na odwrót, i tak wszystko niejasne, tak dziwnie niedopowiedziane. Co ja mam robić?

Poszedłem na kwatere pożegnać się z Jeannette; tu znowu łzy, płacz, ledwie się mogłem jako tako spakować. W myśl starego *Omnia mea mecum porto*¹ wszystko w dwa chlebaczki, a resztki już nagromadzonych dóbr Jeannette na otarcie łez. Wyszła nawet *maman* z judaszową zmarszczką współczucia... *Adieu!*

Wracając, dopadł mnie na szosie podchorąży Wilczyński:

– Panie kolego, rotmistrz Marcisz wydał rozkaz złożenia broni, ja złapałem te kaemy i niosę do pana. Co pan myśli robić?

– Panie podchorąży, chodźmy do Kernesa, musimy się naradzić, co nam jeszcze pozostało. To wszystko prawie nie do uwierzenia.

Zarządziłem zbiórkę:

– Słuchajcie, niedoszli bohaterowie, znaleźliśmy się w parszywej sytuacji. Niemcy tuż tuż – wybór niewielki: albo giwera w łapę, garść naboji i w krzaki na zabawę w chowanego, albo *Hande hoch* i w plen. Kto wyrwie do chałupy, temu *bonne chance*. Ja wybieram to pierwsze, bo dużo zabawniejsze, ale kto ma inne plany, niech wystąpi!

Myślałem przez chwilę, że wezmą to poważnie, że się zmartwią, że zaczną radzić, a nawet przeklinać. Gdzie tam! Ta łobuzeria zaczęła się śmiać i pokpiwać. Trzech wystąpiło, i to śmiejąc się, że właściwie oni niedaleko mieszkają i chętnie poszliby do domów, ale jeżeli coś mam przeciwko temu to naturalnie zostaną. Kazałem im wyrwać, i to natychmiast.

– A wy, szanowna młodzieży?

Wyrwał się Bańko: – Wiadomo, idziemy z panem. Jak ma być wesele, to niech je będzie słychać.

– Ano, jak chcecie igraszek, to wliczcie teraz w cień, bo was słońce rozpuści. Panie Wilczyński, niech pan wraca pod dowództwo i jak tylko zobaczy pan coś alarmującego, biegiem do nas.

Usiedliśmy z Józkiem w cieniu. Trudno było nawet gadać; znowu ucieczka, znowu niepewność, znowu wielka niewiadoma. Po cholere ja się w to pcham? Paszport mam, nawet wizę szwajcarską mam, nie potrzebuję uchodzić za uciekiniera. Ciotka w ostatnim liście zaklina mnie, żeby przyjeżdżać, że Francja się wali, a ja najmniej pomogę. Z drugiej strony tu może być nawet ciekawie, przecież mnie w tych krzakach nikt z tymi chłopakami nie złapie, chyba w Marsylii. A z tym Marciszem to musi być przesada, Wilczyński trochę panikarz; niemożliwe, żeby rotmistrz kawalerii broń oddawał bez strzału, przecież by mu inni oficerowie nie pozwolili.

– Ty, uważaj, leci Wilczyński.

Jeszcze nie dobiegł, jak zaczął wołać: – Niech pan maszeruje, granda! Marcisz chce tu zostać, złożyć broń i czekać na Niemców, by się poddać, a rozkaz dowódcy był, że idziemy w tylnej straży. Niech pan maszeruje!

Dwa plutony stanęły w mig, trójkami, karabinki przez szyję, 150 naboji na kb, osiem erkaemów, dwadzieścia skrzynek amunicji.

Szliśmy z Kernesem przed plutonami, minęliśmy kościół, w cieniu na środku szosy stali Marcisz, porucznik Barylski i porucznik Tuński. Podeszliśmy na dziesięć metrów.

– Oddział... stój!

Parę kroków naprzód, stanąłem na baczność, zasalutowałem:

- Na rozkaz, panie rotmistrzu!
- Kto ogniomistrzowi kazał tu przyjść?
- Podchorąży Wilczyński powtórzył mi rozkaz maszerowania.

¹ Wszystko, co posiadam, noszę ze sobą.

– Ogniomistrz zaprowadzi swoich ludzi i złoży broń u mera.

To było dla mnie za silne, tego nie pojmowałem, zrobiło mi się lodowato zimno, poczułem słodki smak w ustach. Byle tylko się opanować, pierwsza myśl będzie najlepsza.

– Panie rotmistrzu, pan tego nie może... – zaczął Barylski.

– Powiedziałem: rozkaz, Niemcy o parę kilometrów, lada chwila jak ich tu patrzeć. Przecież on – pokazał na mnie ręką – otworzy ogień, wszystkich nas tu wybija. Ogniomistrz wykona rozkaz natychmiast!

To mi zupełnie wystarczyło. Wolno zrobiłem krok w tył, szarpnąłem kolbę nagana. Barylski rzucił się na mnie, zasłaniając ciałem Marcisza: – Na miłość boską! Na pamięć swego ojca! Nie rób tego!

Poderwał się porucznik Tuński:

– Nie masz prawa wydawać rozkazu złożenia broni temu wojsku, a do tego w cywilne ręce. Teraz poniesiesz konsekwencje, oni strzelą ci w łeb, zobacz!

Obejrzałem się. Pierwsza trójka – Starzyński, kapral Wojczak i Kukurowski – trzymała w rękach gotowe do strzału karabinki.

I to ma być to nowe wojsko? To jakoby lepsze wojsko? Lepsi dowódcy? Wszystko, co w Polsce, było złe: rząd zły, wojsko źle dowodzone, oni dopiero nam pokażą, co to jest wojsko! Ładny początek! To wstyd, mało wstyd, to... hańba!

Marcisz chwilę stał bez słowa, wreszcie machnął ręką i odszedł. – Róbcie, co chcecie – rzucił za siebie.

Porucznik Barylski objął komendę. Oddział wyruszył w kierunku na Ploermel, ja ze swoimi w pół godziny później.

Kernes wpadł na pomysł, żeby wykorzystać ten czas i umundurować ludzi. Magazyn był nieruszony i w pół godziny oddział wyglądał jak z Bon Marché², wszystko nowiuteńkie: mundury, berety, owijacze, płaszcze, pasy, ładownice; nie pozwoliłem tylko brać butów.

Ale cholera Józek nie wytrzymał i dopasował sobie nowe żółte kamasze. Będziesz ty był na te kamaszki, Nosaczu.

Droga do Ploermel trochę się dłużyla. Gorąco było wściekle i rozpalony asfalt ział żarem, drogi były puste i przez miasteczko przeszliśmy z poczuciem jakby winy. Ludzie w milczeniu i obojętnie witali nasz przemarsz – ani jednego słowa, ani jednego uśmiechu.

Przed samym wieczorem, w Peillac, dogoniliśmy pułk. Poszedłem zameldować się rotmistrzowi Minkowskiemu, który aż cmoknął na widok tak pięknie umundurowanego oddziału.

Przenocowaliśmy w ogrodach, odebrawszy uprzednio grabiącym angielskie magazyny okolicznym wieśniakom trochę konserw i papierosów, których całe skrzynie targali, jak kto mógł – wozami, taczkami i na plecach.

Żał mi Kernes. Gdyby się szczęśliwie nie przytrzymał do jakiegoś motocyklisty, nigdy by się tutaj na tych swoich odparzonych nogach nie dowlókl. Ma całe stopy w ranach. Zachciało mu się żółtych kamaszków! Kto takiego upartego muła przekona? Trudno, musi jechać *camionem*³.

Rano wyszliśmy na Redon. Wzięty w rękę oddział wrócił do równowagi, wczorajszy incydent poszedł w chwilowe zapomnienie, znowu jest wojsko!

Teraz idę ze swoimi na czele spieszonej kolumny, gros pułku załadowało się wesoło na zafasowane psim śwędem *camiony*. Tutaj na drodze zaczynamy coraz częściej spotykać swoje grupy, bezładnie wlokące się w tym samym kierunku. Widząc zorganizowany oddział, powoli zaczynają się samorzutnie dołączać; trochę młodych oficerów i podchorążych, sama rezerwa. Dowódcy już dawno odjechali.

Na głównym skrzyżowaniu dróg, przed Redon, spotykamy dowódcę 3 OR-u, majora Łą-

² Słynny sklep w Paryżu.

³ (franc.) Samochód ciężarowy.

czyńskiego, który postanawia okopać się na skrzyżowaniu, celem ubezpieczenia naszego odwrotu. Zostaje prawie osiemdziesięciu ludzi i trzech oficerów, między nimi Drobniak.

Dowództwo wycofującego się pułku obejmuje rotmistrz Kornberger.

Dostaję *camion* i zadanie dojechać do St. Nazaire, rozpoznać i ubezpieczyć.

Ale dlaczego ja? Przecież jest tylu oficerów! Sam się podstawiałem jak ten, co gra na fortepianie, a wszystko przez tego Nosacza, to był jego pomysł umundurowania plutonu. Początkowo mnie to bawiło, ale teraz przestało cieszyć.

Kierowca wielkiego *camionu*, sprawnie przechwycony na szosie, nie objawia wielkiego entuzjazmu na widok po zęby uzbrojonego oddziału. Jest marynarzem floty wojennej, ma beret z pięknym czerwonym pomponem i papieros wiszący w samym kąciu ust. Moje sąsiedztwo w kabinie też mu nie odpowiada, ale ma logiczne podejście do problemu: lepiej być kierowcą tych... *Polonais*, niż ryzykować dziurę w pięknym berecie.

Na szosie spotykamy nareszcie to, co kiedyś miało być armią III Republiki. Brudne to, zarosnięte, bez broni, obwieszeni tobołami i bidonami z winem, piechotą, na rowerach, *camiony* wojskowe pełne tego parszystwa. Patrzą na nas w milczeniu, spođe łba. Jedziemy.

Dotarliśmy do St. Nazaire parę minut po piątej. Na ulicach przy wjeździe pełno naszych, są nawet samochody z oficerami; fotografują uważnie jeden po drugim. Marynarz zna drogę do doków, zostawiam po drodze łączników. W dokach zaczyna się bieganie za możliwościami przeprawy przez Loarę, żeby gdzieś zahaczyć jakiś okazańszy kuterek, jakąś większą łódź motorową. Wszystko natrafia na ponure milczenie.

O zmierzchu nadjechał z resztą pułku rotmistrz Kornberger; krótka odprawa oficerów. Postanowiono, że pułk pójdzie w kierunku na La Baule, ja zostanę ze swoim plutonem, bo jakiś urzędnik portowy doniósł, że na końcu wschodniego doku znajduje się duży kuter patrolowy marynarki wojennej i, ponieważ władam francuskim, mam za zadanie przekonać Francuzów o konieczności pomocy. Ze mną zostaje samorzutnie podporucznik Eckhardt.

Bolą mnie strasznie nogi od ustawicznego biegania, ale idziemy. Nad dokami przelatuje co pewien czas samolot niemiecki, ale ponieważ ani nie strzelał, ani nie bombardował, nie zwracaliśmy na niego uwagi i to nas zgubiło. Szliśmy brzegiem małej plaży, gdy wypadł zza dachów i spikował. Rzuciliśmy się jak na komendę w piach, zawarczała seria kaemów, zakurzył się piach, rzuciło ziemią. Wszystko za późno: na piachu zostało bezwładne ciało kaprala Uliaszka.

Biegiem.

W doku, ze dwa piętra w dół, stoi wielka łódź motorowa. Jest prawie zupełnie ciemno. Oddaję komendę plutonu Eckhardtowi. Po namyśle zdejmuję z pasa nagan, oddaję Wilczyńskiemu i schodzę w dół.

Wpuszczono mnie do środka, sprawdzono, czy nie jestem uzbrojony. W maleńkiej kabinie pięciu oficerów w rozpiętych mundurach z nieodstępnymi papierosami w kątach ust, w rękę szklanki z winem, pełno dymu, pół-ciemno. Przedstawiam się, mówię, tłumaczę, proszę – nie robi to żadnego wrażenia. Nie mają rozkazu admiralicji i w ogóle armia, a tym bardziej nasza, nic ich nie interesuje. Obojętne ruchy głowy i... *non!* Próbuje od początku. Mija już pół godziny, na twarzach tych ludzi nic tylko obojętna bezmyślność.

Ej, żeby nie zakaz Kornbergera, i do tego do mnie skierowany, żeby bez żadnych gwałtów, jedna seria z kaemu i woziliby nas jak te raby.

Wyprowadzono mnie na zewnątrz. Ludzi ani śladu, zniknęli. Co się stało? Jest zupełnie ciemno, ani żywej duszy, nieprzyjemna, jakby złowieszczą cisza. Od strony miasta dochodzi od czasu do czasu pojedyncze strzały karabinowe. Jestem sam.

Idę brzegiem kamiennego mola w prawdopodobnym kierunku jakiejś główniejszej arterii. W dół mieniące się światłem księżyca fale biją niespokojnie o kamienne podmurowanie, nastrój jak do marsza pogrzebowego. Z bramy pierwszego domu na rogu wypełzła czarna sylwetka Kukurowskiego z erkaemem i skrzynką amunicji. Został jako mój łącznik. Eckhardt, nie mogąc się mnie doczekać, poprowadził pluton za rotmistrzem. Po dobrej

godzinie nocnego błędzenia, ku wielkiej naszej radości spotkaliśmy pułk na samym skrzyżowaniu.

Brak mi czterech ludzi: Uliaszek zabity, Robizak ranny został w St. Nazaire, ale gdzie jest Szłaga i Starzyński? Czy im się co nie przydarzyło? Jak dowódca może gubić ludzi? Nie chcę wywoływać teraz awantury z Eckhardtem.

Dwiema wielkimi ciężarówkami przyjeżdżają Barylski i Kemes. Uruchomili je w opuszczonym przez Anglików parku samochodowym, mają pełne baki benzyny.

Teraz na wozy i jazda! Wozy idą pełnym gazem szosą nadbrzeżną. Mijamy La Baule i prawie brzegiem morza do pierwszego porciku, gdzie może znajdziemy przeprawę. W pełnym księżycu wjechaliśmy do Le Croisic. Małe portowa miejscina o wąskich uliczkach, ale w porcie duży magazyn benzynowy i budynek admiralicji. Wszędzie cisza nocy.

Wozy wracają po następną partię. Rotmistrz Kornberger poleca ustawić karabiny maszynowe na kierunkach i okopać, wyznacza służby.

Ja mogę się nareszcie przespać; rozkładamy się pod kasztanami przy nabrzeżu.

Rano awantura od samego świtu. Grupa oficerów francuskich, która nadjechała w nocy, zaczęła napastować Kornbergera. Wezwano mnie na tłumacza. Major Francuz w bardzo niegrzeczny sposób rozkazuje Kornbergerowi natychmiastowe opuszczenie miasteczka, bo w razie nadejścia Niemców uzbrojony oddział może ściągnąć represje na mieszkańców, a w ogóle wojna jest skończona.

Spokojnie tłumaczę, ale właściwie bardziej mnie interesuje nastrój i reakcja otaczającej nas gromady ludzi, którzy przyglądają się i słuchają sprzeczki.

W pewnym momencie Francuz, widząc spokój Kornbergera i jego argumentów, nabiera pewności siebie i machnąwszy pogardliwie ręką, wyrzucił: – *Va t'en!*⁴

Kornberger spokojnie, jakby z namysłem, bez pośpiechu zamachnął się i wyciął w mordę! Pięknie obszyty złotem kaszkiecik majora poleciał w tłum, major złapał się za okrwawione usta.

– *C'est la reponse d'un officier polonais, mon commandant*⁵ – uprzejmie objaśniłem.

Z milczącego tłumy wyszła kobieta ciemno ubrana, podeszła do majora i plunęła mu prosto w twarz!

– *Lache!*⁶

Oficerowie francuscy bez słowa oddalili się w stronę budynku admiralicji, lufy naszych kaemów nie wyglądały zbyt zachęcająco.

Barylski ładuje dwie ciężarówki ludźmi i wiezie do La Turballe; tam jest duży statek idący do Anglii. Do La Turballe tylko kilka kilometrów.

Nabrzeże portowe zaczęło się zaludniać uciekającymi rodakami; wszystkie rodzaje broni, poza naszym oddziałem najwięcej z artylerii.

Nadjechał Barylski po następny transport, gdy prawie równocześnie jakaś nędza w czapce oficera marynarki przybiegła z budynku admiralicji z wiadomością, że trzy torpedowce angielskie wejdą do portu i mogą zabrać pewną, ograniczoną ilość polskich żołnierzy i że oni dostarczą dwie łodzie motorowe do przewozu na statki. Ponieważ byliśmy jedynym oddziałem wojska, i do tego uzbrojonym, mieliśmy pierwszeństwo załadunku.

Daleko na horyzoncie ukazały się smukłe sylwetki okrętów wojennych.

Rozkaz do załadowania pierwszego torpedowca dostał adiutant pułku, porucznik Piotrowski. I tutaj zaczął się kontredans – wrzask, krzyk, biegania, trzy razy kazał nam zmieniać miejsce zbiórki, a gdy podeszła pierwsza łódź, to granda na cały regulator. Mój pluton ładował się pierwszy, ale zanim dotarliśmy do łodzi, już kilku przezornych zajęło miejsca, pułkownik Łakiński i znany jeździec, kapitan Dąbski-Nerlich, jakiś oficerzyna z artylerii i bodaj syn pułkownika w mundurze żołnierskim. Łódź była bardzo obszerna i wszystko by poszło naturalnie i spokojnie, gdyby nie duża, biała waliza pułkownika. To wystarczyło Pio-

4 (franc.) Precz!

5 (franc.) Oto odpowiedź polskiego oficera.

6 (franc.) Tchórz..

trowskiemu:

– Co?! – wrzasnął. – Tu wojsko się ładuje, miejsca dla ludzi nie ma, a on walizy wozi! Do wody!

Moim marynarzom nie trzeba było dwa razy powtarzać rozkazu, trzech skoczyło do łodzi.

– Stój!

– Panie poruczniku, moim ludziom ja wydaję rozkazy, a pan może tylko wydać rozkaz mnie... Ładować się!

Jakoś przeszło, Piotrowski się uspokoił, ale posmaczek awantury pozostał.

Na torpedowcu powitało nas gromkie hura, jednak oficer dowódca, zobaczywszy nas tak uzbrojonych, zatrzymał mnie i łamaną francuszczyzną polecił oddać broń, tłumacząc prawem okrętów Jego Królewskiej Mości, że na statku nikt nie może mieć broni poza załogą okrętu. To mnie przekonało.

Ładowanie zajęło dobre dwie godziny. Na taki maleńki stateczek zmieściło się prawie trzystu ludzi. Pokład wystaje znad wody nie więcej niż trzydzieści centymetrów. Jeszcze nie ruszyliśmy, a już zaczęto nam rozdawać herbatę z mlekiem w blaszanych dużych kubkach i pajdy białego chleba z jakąś marmoladą.

Na statku oprócz naszych ludzi, którymi dowodzi Piotrowski, jest jeszcze kupa zbierani-ny i kilkunastu oficerów, którzy ze strachu zdjęli gwiazdki. Na tych zaczął używać sobie nasz adiutant.

Nareszcie ruszyliśmy. Zdawało się, że przy tak pięknej pogodzie całe to wyczekiwanie i niepewność ostatnich godzin zakończy uroczą przejażdżka. Po kubku herbaty i na widok świetnie wyglądających marynarzy zmora ostatnich przeżyć rozlała się w niepamięć, ale jeszcze nie odeszliśmy daleko od brzegu, jeszcze między trzecim torpedowcem a portem krążyły łodzie, gdy zagwizdano na alarm... Dornieri!

Konrtorpedowiec nasz aż krztusił się szybkością wysyłanych pocisków. Boforsy, dwa działa, sprzężone pom-pomy pluły ogniem, jakby prześcigając się w sprawności, ale nasz podziw budziła obsługa, bez słowa, spokojnie, bez żadnego zbędnego ruchu, jak automaty! Nie na darmo mają opinię najlepszej floty świata.

Ledwie odlecieli pierwsi, już nadlatywali następni. Statek aż trząsł się od wysiłku silników, szedł pełną prędkością, wijąc się jak piskorz między fontannami wybuchów. Niektóre wykłwitały niepokojąco blisko, lecz spokojne, uśmiechnięte, pewne siebie twarze załogi były dla nas rękojmą bezpieczeństwa.

Przed zachodem słońca wydano nam herbatę, chleb i jakieś mielone mięso, nawet smaczne. Nastroje były dobre, wróciła pewność siebie, na wszystkich twarzach widać było zadowolenie, ale nie na długo.

Kapitan Bąbski-Nerlich wezwał mnie do pułkownika. Pułkownik Łakirski wydał mi rozkaz dostarczenia mu spisu wszystkich ludzi.

– Panie pułkowniku, melduję, że moim dowódcą jest porucznik Piotrowski i jemu przekazę rozkaz pana pułkownika.

Nadbiegł Piotrowski.

– Co? Spis ludzi? Komu?

– Jako najstarszy stopniem oficer obejmuję komendę nad tym wojskiem – spokojnie powiedział pułkownik Łakiński.

– Co? Pan nad moim wojskiem? A gdzie pan zostawił swoje wojsko? Pan może sobie dowodzić swoim synkiem i tymi uciekinierami bez gwiazdek.

– Ja panu daję rozkaz!

– A ja pański rozkaz mam gdzieś! Dla mnie pan nie jest żadnym pułkownikiem, ale uciekinierem z własnym synkiem i walizkami.

Piotrowski obrócił się tyłem i kazał mi iść z sobą. Na to patrzyli ludzie.

Zaczyna się walka o władzę, o wykazanie się, o koryto. Piotrowski na pewno ma rację,

ale można by to ubrać w inną formę, nie publicznie, przy wojsku. Nie zdaje egzaminu ten korpus zawodowy, jednostki tylko są dobre, reszta... pożał się Boże.

Pod wieczór rozdano nam trochę koców, zaczęło się robić chłodno. Żołnierze pokładli się gdzie kto mógł, zostawiając wolne przejście dla załogi. Wybraliśmy z Kernesem i Lisickim kącik zasłaniający nas od wiatru; Bolek Lisicki trząsał się cały z zimna, więc wzięliśmy go w środek. Przechodzący marynarz rzucił nam do okrycia swój gruby płaszcz wojskowy. Zapaliliśmy. Natychmiast podbiegł marynarz i wyjął nam z rąk papierosy. Nie wolno!

Kernes podciągnął nakrycie pod brodę, ułożył nosisko, łypnął na mnie okiem i zaczął pocieszać:

– Coś taki smutny? Martwisz się, że przyjaciół pogubiłeś? Nie martw się, wszyscy się znajdują, i Sikorski, i z nim cała wystawa żółtych butów z „Reginy”, i Marcisz cię z kwiatkiem powita w pierwszym porcie, a za to wymachiwanie pistolem to oni wszyscy cię uściskają, a jeśli ci za mało, to ten pułkownik też ci coś niecoś dorzuci.

Tak, moje perspektywy nie wyglądały najróżowiej, podsumowanie ostatnich miesięcy nie dawało nadziei jasnego jutra. W Polsce wywinałem się czerwonym, na Węgrzech dałem się zrobić łapsom z dwójki w tego porucznika; wyjść to wyszło, ale żeby mnie w porę nie uprzedzono i nie pomoc generała Jatelnickiego w Paryżu, to bym się sam usidlił na fest. Później to cholerne Coëtquidan! Było nie było ukradłem osiemdziesięciu ludzi, i to mi pięknie wyszło, ale awantura z majorem, a później ten cały Marcisz, tego mi zupaki nigdy nie darują; ten pułkownik – jak mówi Kernes – też mi coś dołoży.

Cała ta Francja, Paryż, Coëtquidan, ta cała organizacja, polityka, kłótnie, jakieś rozgrywki, to całe wojsko – to istny jarmark głupców, tu nie ma miejsca na homo sapiens, tu trzeba w najlepszym wypadku grać wesołka, ot tak trochę na Stańczyka.

Pokład cały drżał od wysiłku silników, zaczęło huśtać, ale torpedowiec szedł w tę czarną noc, tnąc wodę, której bryzgi wiatr rzucał na pokład. Zaczęło mi być coraz zimniej.

I jak tu usnąć? Zimno jak cholera i do tego możliwość powitania z... kwiatkami! Jak Żydzi mówią, czarny rok na mnie. Ale dlaczego?

Crawford, czerwiec 1940